



- Byliśmy na Forum!
- Quo vadis kulturo?

Melodieën uit Polen

Talenten van "The Voice of Polonia"

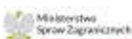
Bestel kaarten - kup bilet



Zondag 17 november

KIELZOG

Hoogezand



Projekt „Poloneza Czas Zacząć” jest współfinansowany z programu Ministerstwa Spraw Zagranicznych „Polonia i Polacy za granicą 2024”



Zadanie dofinansowane w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2024 roku www.thevoiceofpolonia.eu



ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Redaktor Naczelna

Drodzy Czytelnicy

Niebawem zaczniemy myśleć o kupnie świątecznego drzewka i rozglądać się za gwiazdkowymi prezentami (polecam wiersz Jerzego Skoczylasa). Spróbujmy jeszcze pozostać w jesiennej aurze oraz powspominać minione lato. A warto, bo obfitowało ono w miłe wydarzenia. W sierpniu, Fundacja „hOlendry” i „Scena Polska” zorganizowały „Polsko-niderlandzkie Kulturobranie 2024 w Nowej Róży”. Czytelników zainteresuje na pewno krótka relacja z 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni i lista nagrodzonych Lwami filmów. Dalej sekretarz redakcji Eugeniusz Brzeziński opisuje swoje wrażenia z pobytu na „szkoleniu” dziennikarzy Mediów Polonijnych. Polecam lekturę tekstów Małgorzaty Doszczak i Alicji Grygierczyk, autorki są niezwyklejmi obserwatkami życia i zawsze trafiają w sedno problemów, których na co dzień nie postrzegamy. Są też zaproszenia na listopadowe spotkania z polską kulturą w Holandii i... w Australii, a także wspomnienia o ludziach teatru, relacji, ze spotkań literackich, podróżniczych i zaproszenia kulinarne do polskiego stołu u Ziemanina.



Piszę o miłych spotkaniach, to wspomnę, że niespodziewanie, na Forum Mediów Polonijnych w Warszawie usiadł obok Eugeniusza i mnie pan, który wydawał mi się bardzo znajomy...a pan to skąd?...jestem dyrektorem TV Polonia Zofio.” Był rok 1993, czyli początki stacji, Grzegorz Jędrasik już tam pracował, a ja zostałam przyjęta przez pierwszego dyrektora, Krzysztofa Nowaka, któremu przedstawiłam plany powstałej w 1992 roku fundacji „Pools Podium-Scena Polska”. A obecnemu dyrektorowi serdecznie dziękuję za miłe zaproszenie do stacji i wspólne zdjęcie na znak trwającego ponad 30 lat związku.

Przy okazji pozdrawiam współpracujących przez wiele lat ze Sceną Polska redaktorów: Leszka Ratajczaka, Izę Bojarewicz, Jacka Zakrzewskiego i Leszka Płatę. Może zechcą podzielić się z nami, na łamach naszego kwartalnika, interesującymi opowieściami ze swojej pracy wśród Polonii świata?

Miłej lektury!

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Spis treści

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
Nagrody 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.....4

EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI
Byliśmy na Forum!6

EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI
Wróci – nie wróci.....7

JACEK KAŁUCKI
Trzech Wspaniałych.....8

MAŁGORZATA DOSZCZAK
Quo vadis kulturo?
Co czeka holenderską kulturę? 10

MAŁGORZATA DUSZCZAK
Zorza w ogródku..... 11

MAREK GRĄDZKI
Przypomnij sobie smaki PRL-u..... 11

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ
„Polsko-niderlandzkie Kulturobranie 2024 w Nowej Róży” 12

ALICJA GRYGIERCZYK
Najważniejszy przedmiot na maturze 14

JERZY SKOCZYLAS
Wakacyjne pamiętki..... 14

GRAŻYNA GRAMZA
Inspiracje nie tylko kobiece,
czyli „Z deszczu pod rynnę”
Ewy Niepokulczyckiej..... 15

ALEK SILBER
Święta Góra..... 16

Strona internetowa: www.scenapolska.nl – ZAPRASZAMY!

SCENA POLSKA | Nr 3(119)/2024 | ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schrotten-Czerniejewicz i zespół.

WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com

Stichting Pools Podium, ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.

www.scenapolska.nl | www.facebook.com/scenapolska

ZDJĘCIA: Archiwum SPP

SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet | Mac Map

OKŁADKA: fot. Mauro Radici, Dom Polonii w Pułtusk

DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki



Nagrody 49. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni

Festiwal Polskich Filmów Fabularnych to jedno z najstarszych wydarzeń filmowych w Europie, promujące polską kinematografię. Istnieje od 1974 roku. Do 1986 roku FFFF był organizowany w Gdańsku. Następnie jego siedzibą stała się Gdynia, a centrum festiwalowym – Teatr Muzyczny im. Danuty Baduszkowej. O statuetkę Złotych i Srebrnych Lwów, a także szereg nagród indywidualnych rywalizują najciekawsze filmy, premiery, debiuty i laureaci międzynarodowych festiwalu filmowych.

W roku 2003 otrzymałam po raz pierwszy zaproszenie na 23. Festiwal Polskiego Filmu w Gdyni i dotąd nie opuściłam żadnego. Dla organizatora przeglądów, retrospektyw i innych form promocji polskiego filmu za granicą (Scena Polska zapoczątkowała swoją działalność filmową w Holandii w 1994 roku) to okazja do zobaczenia najnowszych produkcji filmowej, ale też sposobność nawiązania kontaktów ze środowiskiem twórców oraz organizatorów podobnych działań za granicą. Pomagamy sobie nawzajem, dzielimy się doświadczeniami i kontaktami, a ostatnio organiza-

torka Festiwalu w Nowym Yorku Hania Hartowicz zaprosiła mnie do grona jury swojego festiwalu. Jury obradowało przez internet, wiadomo, oszczędność kosztów. A te niestety rosną i trzeba się bardzo nagimnastykować, aby zdobyć atrakcyjne filmy i zachęcić widzów do przyścia do kina. Ale pasja i ciekawość „co tam panie na ekranie...” trwa i nadal będziemy zapraszać widzów na przeglądy i pokazy do sal kinowych oraz spotkania z twórcami na całym świecie. A za rok spotkamy się na 50-tej jubileuszowej edycji Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

A co wydarzyło się we wrześniu tego roku? Jak zwykle przyznano wiele nagród w rozmaitych kategoriach, ale najbardziej prestiżowe to tradycyjne Złote, Srebrne i Platynowe Lwy:

Złoty Lwy, czyli główną nagrodę Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, otrzymała „Zielona Granica” Agnieszki Holland. „Zieloną Granicę” docenili także widzowie przyznając jej Nagrodę Publiczności. Srebrne Lwy trafiły do „Dziewczyny z igłą” w reżyserii Magnusa von Horna, nagrodzonego tak-

że za zdjęcia, muzykę, scenografię i kostiumy. „Platynowe Lwy” za całokształt twórczości odebrał reżyser Wojciech Marczewski, wielokrotnie nagradzany w Gdyni – Złotymi Lwami za film „Ucieczka z kina 'Wolność'” (1990), Srebrnymi Lwami za filmy „Zmory” (1979) i „Dreszcze” (1981) oraz Nagrodą Specjalną Jury za film „Czas zdrady” (1997).

Widzowie są również zainteresowani nagrodami dla aktorów. W tym roku, za role pierwszoplanowe nagrody odebrali:

- Pierwszoplanowa rola kobieca – Sandra Drzymalska, „Biała odwaga”
- Pierwszoplanowa rola męska – Jacek Borusiński, „Wróbel”
- Dodam jeszcze: Najlepszy reżyser – Marcin Koszałka, „Biała odwaga”

I tutaj Państwo pozwolą, podzielę się swoimi własnymi odczuciami. Mój zachwyt wywołały trzy filmy: „Dziewczyna z igłą”, „Biała odwaga” i „Wróbel”. Te filmy są zupełnie różne, pozornie nie łączą ich nic, ale na pewno talent twórców, ładunek emocji i ważny temat. Brawa dla reżyserów i autorów scenariuszy. Również aktorzy





tych filmów zdobyli uznanie jury i sympatię widzów.

Po obejrzeniu filmu udało mi się porozmawiać z reżyserem „Białej odwagi” Marcinem Koszałką. Nie spodziewał się nagrody, a ja, trzymałam za „Białą odwagę” kciuki. W poprzednim numerze Sceny Polskiej Konrad J. Zarębski pisał o tym filmie w artykule na stronie 6. pod tytułem: „Szekspira na Podhalu”. Film zdobył kilka nagród, na które w pełni zasłużył.

Film „Dziewczyna z igłą” Magnusa von Horna, to duński kandydat na Oscara. I nie analizujemy dlaczego nie polski, bo widocznie tak musiało być, ale trzymajmy kciuki, żeby tego Oscara dostał. Film jest na światowym poziomie, opowiada dawną historię, ale porusza ważne i aktualne sprawy kobiet. To nie istotne, że aktorzy nie używają w nim języka polskiego. To właśnie kunszt twórcy filmu, opowiada historię uniwersalną w uniwersalny sposób. Taki właśnie powinien być film Oskarowy.

A film „Wróbel”? Urzekł mnie swoją prostotą. Zasłużona nagroda za rolę Wróbla dla Jacka Borusińskiego. Sam aktor, był niezwykle zaskoczony nagrodą. Gdy mu gratulowałam, chyba nie za bardzo jeszcze wierzył, że

przed chwilą stał na scenie i widać było tam jego zaskoczenie. Osobiście, nagrodziłabym jeszcze Krzysztofa Stroińskiego za rolę Dziadka w filmie „Wróbel”. W tym miejscu gratuluję obydwu aktorom i dziękuję za chwilę wzruszenia na pokazie filmu. Napisałam moja opinię



nie czytając recenzentów, mam nadzieję, że pochwala ten film, a widzowie go polubią. Oglądając pierwsze sceny filmu „Wróbel” skojarzyłam ten film z twórczością znanego holenderskiego reżysera Josa Stellinga, bohaterowie jego filmów „Wisselwachter”, „No trains, no plains”, „Duska” i innych to holenderscy odpowiednicy naszego polskiego bohatera z filmu „Wróbel”.

Wrócimy jeszcze do tego tematu, mam nadzieję, że uda mi się pokazać w Holandii ten film i zaprosić na pokaz Jos Stellinga, wybitnego holenderskiego reżysera i założyciela Nederlandse Film Festival.

Czytelników zainteresowanych wspólnym obejrzeniem filmu „Wróbel” oraz spotkaniem z odtwórcą głównej roli w Utrechcie proszę o deklarację uczestnictwa: poolspodium@gmail.com (wiadomości pod tytułem Wróbel). Postaram się spełnić Państwa życzenie.

Na koniec relacji z Festiwalu dziękuję serdecznie wolontariuszkom i wolontariuszom z Biura Gości Zagranicznych za opiekę podczas festiwalu i stworzenie wspaniałego, festiwalowego klimatu podczas całego naszego pobytu w Gdyni.

ZOFIA
SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ

Byliśmy na Forum!

EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

To znaczy, na VII Forum Mediów Polonijnych. My, to jest nasza Szefowa – Zosia oraz niżej podpisany. Forum odbywało się w dniach 17-20 października na trasie Warszawa (MSZ) – Pułtusk (Dom Polonii) – Warszawa (Hotel Holiday Park na Bielanach). Nie pytajcie, czemu w ten sposób, bo to wymaga dłuższej odpowiedzi, a i tak niewiele się wyjaśni. Nazwijmy to umownie: „Bo tak wyszło”. Uczestników było sporo, choć chyba mniej, niż zapisanych 85 osób, z różnych stron Świata. Media polonijne reprezentowali starzy i młodzi (oczywiście także, a może nawet przede wszystkim, stare i młode, ale o feminytywach jeszcze będzie) przedstawiciele wszelkich możliwych mediów. Byli więc piszący, byli głównie-mówiący, były też wszelkiego rodzaju mieszanki twórcze, bo mediów mamy wszak obecnie bez liku.

Powitano nas uroczyście w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie było bardzo oficjalnie, choć trzeba przyznać, że serwowany na wejściu lunch był całkiem-całkiem.

Potem przejazd autokarami przez zapchaną w godzinach szczytu Warszawę, co trwało wieki, oraz dalszy przejazd w nierzadkich korkach do Pułtuska, gdzie dojechaliliśmy dopiero na kolację. W autobusach pierwsze kontakty, pierwsze znajomości, pierwsze wymiany informacji:



Kto? Skąd? Co robi? I dlaczego właściwie robi to, co robi?

Dom Wspólnoty Polskiej w Pułtusku przyjął nas i gościł przez dwa dni w zasadzie wspaniale. To „w zasadzie” odnosi się tylko do słabego Internetu, który po prostu nie dawał rady kilkudziesięciu komputerom szukającym jednocześnie tych samych informacji podczas szkoleń. A tych ostatnich było w bród; przez dwa dni słuchaliśmy zafascynowani wykładów i braliśmy udział – równie zafascynowa-

ni – w zajęciach praktycznych, czyli warsztatach, od rana do wieczora (okej, z przerwą na obiad). Ciekawi Państwo tematów? Ależ proszę bardzo: „Wsparcie sztucznej inteligencji w pracy dziennikarskiej” (Wprowadzenie do generatywnej AI, Praktyczne zastosowanie w mediach, Przykłady zastosowania), a także „Jakość i atrakcyjność – dylematy dziennikarstwa XXI wieku”, „Granica wolności słowa a prawo do prywatności” czy też „Język współczesny, neologizmy i feminytyw”. Jednym słowem – *Serious Stuff*. Ale jakoś daliśmy radę. Czego najlepszym dowodem jest niniejszy tekst wygenerowany przez sztuczną inteligencję.

Było szumnie, gwarno, wieczorki tzw. zapoznawcze przeciągały się niejednokrotnie do rana, czemu z pewnością pomagała gościnność naszych Gospodarzy w Pułtusku. Zresztą tamtejsze sale, w tym Pokój Kominkowy, stanowiły doskonale „środowisko” dla Środowiska (polonijno-dziennikarskiego). Było więc, jak z powyższego winno wynikać: edukacyjnie, towarzysko, w pełnym tego słowa znaczeniu odżywczo, inspirująco i...męjąco. Ale daliśmy radę, o czym zapewnia Was

WASZ KORESPONDENT

Eugeniusz Brzeziński (bo to jednak ja, o własnych siłach, powyższe napisałem, a nie żadne tam generatywne sztuczne inteligencje :-)



Wróci – nie wróci



EUGENIUSZ BRZEZIŃSKI

Trzydzieści lat temu, w kwietniu 1994 roku, pięć lat po odzyskaniu suwerenności, tygodnik Polityka zamieścił wyniki ankiety, w której kilkorgu znanym osobom mieszkającym za granicą zadano pytanie: „Czy wrócił(a) by Pan(i) do Kraju?”. Oto niektóre odpowiedzi. **Janusz Głowacki:** „Powroty stały się bardzo proste do wykonania. Gdyby nie to, że są zupełnie niemożliwe. No, może po roku, dwóch, pięciu, ale jeśli się wraca po 12 czy 20, to się nie wraca, tylko przyjeżdża. Bo, mówiąc najkrócej, za dużo się zdarzyło po drodze, i tam i tu. Zresztą jeśli się nie wróci, to wcale nie znaczy, że się zostaje. Bo wygląda na to, że jak się raz zacznie uciekać, to już nie ma ucieczki od ucieczki. Tak w każdym razie napisał Auden, a ja wierzę poetom.” **Anna Prucnal:** „A w Polsce? Wydaje się, że są tam jeszcze przyjaciele, ale to już nie są przyjaciele. Każdy poszedł w swoim kierunku, każdy znalazł inną drogę. I po dwóch dniach, jak się już upijemy, nie mam do kogo otworzyć pyska.[...] Czy ja jeszcze jestem Polką? Chyba na pewno jestem. Dlatego, że Francuską też nie jestem [...] Naprawdę myślę, że wybór jest b. trudny dla tych Polaków, którzy już długo są za granicą. Gdybym pisała, na pewno chciałabym wrócić. Nie wyobrażam sobie pisanie w innym kraju. Choć Conrad dał sobie radę.” **Zygmunt Bauman,** socjolog: „[...] Czy zamie-

rzam wrócić do kraju? W jakimś sensie (istotnym) nigdy z niego nie wyjeżdżałem, choć ci, co konstruują kraje na kształt klatek tego nie zauważali. [...] Dla intelektualisty wybycie z kraju jest tak samo niemożliwe, jak bycie w nim bez reszty [...] A miejsce, w którym się myje, je i śpi? Ważne jest dla tych od policyjnych rejestrów, ale nie dla intelektualnego życia [...]”

A ja? Już kiedyś na tych łamach „filozofowałem” troszkę na temat „ja na emigracji, a oni w Kraju”. Wówczas, komentując, na własny użytek, tamte odpowiedzi słynnych emigrantów, zanotowałem:

„Ja chyba też nigdy stamtąd nie wyjechałem, w sensie powiązań duchowo-kulturowych, ale też przez ostatnich 12 lat mnie tam nie było w sensie ludzko-świadomościowo-bytowo-kulturalnym. Więc jestem tam i nie jestem – taka sobie moja prywatna schizofrenia. Bo wszystkie wiadomości telewizyjne, i listy, i lektura Polityki to tylko namiastka. Życie jest albo tam albo tu, a ja jednak żyję tutaj, choć wydaje mi się czasem, że żyję i tu i tam (czyli TUTAM, jak u Scheafera). Czy wróciłbym? Nawet na to nie umiem odpowiedzieć jednoznacznie. Fizycznie – nie, nie wróciłbym, bo nie „wraca” się po tylu latach (vide Głowacki). Duchowo – tak, bo tak strasznie brak mi przyjaciół. Ale czy miałbym ich tam jeszcze? Chyba mam poważne wątpliwości. Żeby chociaż jeden!”

Bo przecież ci, co tam zostali, nasi bliscy, nasi przyjaciele – owszem, pamiętają nas, a nawet pamiętają o nas, ale żyją innym życiem, mają na co dzień inne problemy, czytają często inne już książki, obstawiają innych polityków z innych niż my partii. Bo oglądają Świat i Polskę z tamtej, krajowej perspektywy. W tym sensie my tutaj jesteśmy może bardziej „obiektywni”, bo jednak mamy jakieś porównanie, jakiś zewnętrzny ogląd stwarzający pewną zmianę

perspektywy. Nie mówię, że lepszą; po prostu inną. A to zwykle prowadzi, w przypadku jakiegokolwiek dyskusji, do argumentów typu: tobie łatwo mówić, bo jesteś tam. Albo: dlaczego głosujesz w sprawach nas – a nie siebie – dotyczących, czyli dlaczego wybierasz nam rządzących? A czasem wręcz: wyjechałeś, to nie masz prawa się na temat Polski wypowiadać! A przecież my wciąż tą Polską – niektórzy nawet coraz mocniej – żyjemy. Interesujemy się wszystkim, co się TAM dzieje, zarówno w sferze politycznej, jak i w kulturowej. Czy ktoś nam może odebrać prawo do tego, tylko dlatego, że mieszkamy za granicą? „Wróćcie, to będziemy rozmawiać.” Ale my najczęściej nie mamy do czego „wracać”. Nikt ani nic na nas nie czeka, nasze życie, zbudowane od nowa, jest tu, w „obcym” kraju, który z czasem stawał się dla nas coraz bardziej „swój”. Tu mamy – lub mieliśmy – pracę, tu odchowaliśmy dzieci, tu mamy nasze domy (w sensie „home” bardziej niż „house”). Jesteśmy Europejczykami, obywatelami dwóch krajów. Nikt nie powiedział, że przestaje się być Polakiem, że przestaje się mieć związek z Ojczyzną tylko dlatego, że mieszka się w innym państwie. To przecież oczywiste, więc nawet nie będę się powoływał na wielkość w rodzaju Norwida czy Mickiewicza. Każdy z nas, tutaj w Holandii, swoim codziennym działaniem jest w stanie przekonać samego siebie – i innych – że jest to możliwe. Więc ja tu zostaję. A Wy?

A na koniec cytat, który w znakomity sposób odnosi się do postawionego w tytule pytania. W liście z lipca 1996 roku Wisława Szymborska pisała do Czesława Miłosza: „*Jeszcze dziś w powszechnym przekonaniu mieć dwie ojczyzny to jakiś wstydlawy mankament. Koniecznie należy wybierać. Jesteś znakomitym przykładem, że dwie ojczyzny to podwójna siła i podwójne bogactwo.*” ■

Informacja o spektaklu

Ludzie, dokąd wyście przyjechali!

W monodramie opartym na dzienniku Alka Silbera, Krzysztof Kaczmarek zabiera nas w podróż w czasie, rysując słowem obrazy z życia migranta. Obrazy, które pokazują nadzieje, upadki i radości budowania nowego życia w nieznanym otoczeniu.

W grudniu 1959 roku szesnastoletni chłopiec wraz z rodzicami emigruje do Australii. Wyjeżdża wbrew własnej woli, pozostawiając za sobą swoje ulubione miasto, przyjaciół i swoją miłość.



Bierze na drogę brulion, który przez lata będzie jego jedynym powiernikiem. Tu wyleje swoje smutki, nadzieje i rzadkie uśmiechy. Po dwóch latach zapełniony zeszyt legnie w szufladzie na pół wieku, aż kolega przeczyta to i powie, że ten dziennik powinien ujrzeć światło dzienne i tak powstaje książka „Ludzie, dokąd wyście przyjechali!”. Po dziesięciu latach Krzysztof Kaczmarek postanawia wystawić to na scenie. ■

Najciekawsze są kulisy

Trzech Wspaniałych



JACEK KAŁUCKI

Wiele ostatnio pisałem o aktorach, a więc dzisiaj przywołam dykteryjki o trzech wspaniałych reżyserach, dyrektorach i teoretykach polskiego teatru – Aleksandrze Bardinim, Erwinie Axerze i Kazimierzu Dejmku. Te rozdziały są zaczerpnięte z mojej nowej książki, która jeszcze nie została napisana, ale ze względu na miłość do Was, Drogie Polonusy, ujawniam trzy fragmenty. Jednocześnie zachęcam do przeczytania tej, która jest już wydana i dostępna w księgarniach internetowych pt. „Sekrety zza kulis” – „Koniec i bomba, a kto nie czytał ten trąba!”

*Pozdrawiam i do zobaczenia!
Jacek Kałucki*

Nazwisko rodowe profesora brzmiało Bardyni. Przypuszczalnie zmiana na Bardini nastąpiła, kiedy Aleksander zapisywał się w Łodzi do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w 1932 roku. Posłużył się pisaniem po rosyjsku aktem urodzenia jako dowodem tożsamości i tu nastąpiła pomyłka. Urzędnik prawdopodobnie pomylił rosyjskie „y” z „i” – i tak już zostało.

Z Aleksandrem Bardinim miałem zajęcia... pośrednio. Profesor miał wykłady na Wydziale Reżyserii – „Praca z aktorem”, a my na równoległym Wydziale Aktorskim uczestniczyliśmy w nich jako „żywe tworzywo”, realizując pomysły przyszłych reżyserów. Zaprzyjaźniliśmy się wtedy z późniejszymi wspaniałymi twórcami polskiego teatru, takimi jak: Marek Weiss Grzesiński, Zbigniew Mich, Ryszard Peryt, Krzysztof Zaleski, Janusz Wiśniewski. Ale najważniejszy był oczywiście „Bardol”! Mówiliśmy też na niego Sasza, gdyż taką miał ksywkę u przyjaciół, którzy go wielbili; aktor, reżyser, teoretyk teatru, guru, o którym krążyły peany. Jerzy Antczak, którego Bardini wybrał na swojego asystenta w łódzkiej filmówce na wydziale aktorskim i reżyserskim,

tak o nim powiedział: Profesor Aleksander Bardini... Człowiek, który otworzył mi Kosmos.

Chłonęliśmy jego uwagi, rady, sformułowania nierzadko uszczypliwe, często dowcipne, ale zawsze trafne.

– Czy hipotetycznego reżysera Brycha znowu nie ma na zajęciach?

– Nieobecny panie profesorze.

– Rozumiem. Zapewne Brych kształtuje świadomość.

Z kolei do studentki Ewy Ziętek, kiedy zobaczył u niej uśmiech bezgranicznego samozadowolenia, powiedział:

– Pani Ziętek, widzę, że pani jest zadowolona w sobie, i to w dodatku z wzajemnością. Radzę, żeby jedna osoba się w pani odkochała. Dziękuję.

Innym razem tak tłumaczył przed wkurzonymi kolegami spóźnienie wspaniałego kompozytora Stanisława Radwana:

– Proszę państwa, ustalmy jednak prawdę podstawową; pan Radwan nigdy się nie spóźnia. [To] czas za nim nie nadąga.

Bardini swoją wnikliwość, wszechstronność zainteresowań oraz etykę zawodową wyniósł bez wątpienia ze sławnej, przedwojennej szkoły, prowadzonej przez Aleksandra Zelwerowicza. Był człowiekiem obdarzonym zdolnością przewidywania. Sławomira Łozińska, która miała z nim zajęcia w Szkole Teatralnej powiedziała mi, że prognozy profesora były prorocze:

– Wyobraź sobie, że o pewnych kolegach i kolegach Sasza nam mówił: „Pani nigdy to się nie uda”, „pana nie będą lubili”, „pan będzie brzydki, ale mądry”, a „pani dojrzeje do tej roli za 20 lat” – wszystko się sprawdziło!

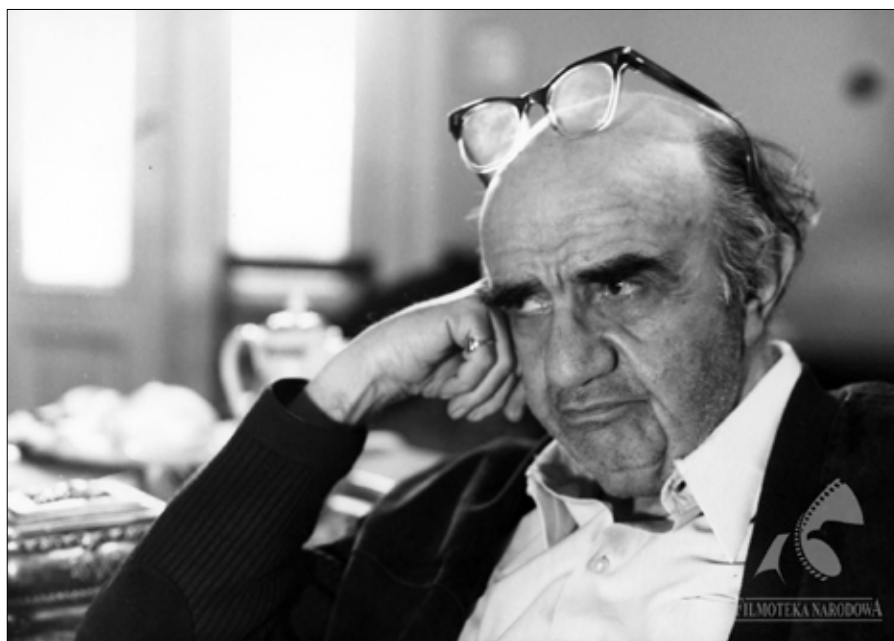
Nie przewidział jednego, a mianowicie, że stanie się medialną gwiazdą! W 1976 roku telewizyjne „Studio 2” zainicjowało cykl programów: „Spotkanie z Aleksandrem Bardinim”. Uczestnikami była muzykująca młodzież poddawana ocenie profesora. Audycje cieszyły się ogromną oglądalnością, a Bardini zyskał niebywałą popularność! Jego żarty i powiedzonka były komentowane i wchodziły do potocznego języka.

– Jestem bardziej rozpoznawalny niż Stanisław Mikulski odtwarzający rolę kapitana Klossa w „Stawce większej niż życie” – niebywałe!

Z szacunku dla Koleżanek i Kolegów nie miałem i nie mam w zwyczaju wychodzenia z teatru przed zakończeniem spektaklu – nawet jeśli przedstawienie jest z gruntu złe, niedobre... Zdarzyło mi się to raz! Po pierwszym akcie „Romea i Julii” w warszawskim Teatrze Rozmaitości, w reżyserii Waldemara Krygiera nie wytrzymałem i udałem się do szatni. Patrząc, a przede mną swój numerek podaje profesor Bardini:

– Pan wychodzi? – zapytałem.

Spojrzał na mnie i ubierając płaszcz z uśmiechem powiedział:



Aleksander Bardini

– Widzi pan, człowiek całe życie się uczy. Miałem tę nadzieję, że znam się na teatrze, a okazuje się złudną. Dobranoc panu.

Nagle podeszła do mnie znajoma bileterka, która kiedyś pracowała w moim Teatrze Nowym:

– Przepraszam panie Jacku... pan go zna?

– Znam.

– To jest ten... Bardyny z telewizji, tak?

– Bardini. A wie pani jak ma na imię?

– No jak to... Profesor!

PS

Andrzej Łapicki tak powiedział o Nim w mowie pożegnalnej: *Byłeś sędzią, sędzią sprawiedliwym, ale surowym, byłeś ostatnim Sprawiedliwym w tej naszej teatralnej Sodomie.*

W mojej galerii sław, nie może zabraknąć jednego z najważniejszych twórców polskiego teatru, z którym związana jest moja ulubiona anegdota. W przekazach padają różne nazwiska aktora, który jest bohaterem tej dykteryjki, podobnie jak miasto i teatr, gdzie pracował. Ale najważniejsza jest pointa, która zawsze jest taka sama i dotyczy... Erwina Axera!

A więc przyjmijmy, że... „Jan” pracował w teatrze na tzw. prowincji. Był człowiekiem nieco naiwnym, jednak bardzo sumiennym i zdyscyplinowanym aktorem. Stronił od używek, na próby przychodził punktualnie i jako pierwszy umiał tekst na pamięć. Warto też dodać, że miał na swoim koncie kilka udanych ról. Najczęściej taki kolega w teatrze jest wpuszczany w przysłowiowe maliny i wystawiany na przeróżne żarty i dowcipasy – tak już jest!

Jeden z jego koleżków, będąc przejazdem w Warszawie, postanowił zrobić mu kawal i wysłał do Jana (na adres teatru) telegram:

Zapraszam na spotkanie w przyszły poniedziałek o godzinie 12.00 do teatru Współczesnego w Warszawie na ulicę Mokotowską 13 w sprawie ewentualnego angażu. Z poważaniem – Erwin Axer.

Punktualnie w wyznaczonym dniu Jan pojawił się w warszawskim sekretariacie. Przedstawił się i wręczył otrzymany telegram.

– Będzie pan uprzejmy poczekać na korytarzu, gdyż dyrektor ma próbę, ale za chwilę jest przerwa, to pana poproszę.

Axer był w gabinecie i kiedy sekretarka pokazała mu depezę natychmiast zorientował się o co chodzi. Poprosił, aby pobieżnie sprawdziła dossier aktora po czym poprosiła go do gabinetu.

– Dyrektor zaprasza.



Kazimierz Dejmek

Z trzęsącymi nogami Jan przekroczył „próg raju”.

– Dzień dobry panu, proszę usiąść. – powiedział Axer wskazując krzesło.

Koledzy w mieście nie mogąc doczekać się spotkania na jutrzejszej próbie, postanowili wieczorem przywitać Janka na dworcu. Ten ze stopnia wagonu wydarł się na cały peron:

– Chłopak! Mam angaż!! Od września pracuję w Teatrze Współczesnym w Warszawie u pana Erwina Axera!

– Jak to... na pełnym etacie?

– Tak! Podpisałem umowę na jeden sezon z możliwością przedłużenia!

PS. Podobno twarze koleżeństwa były... b e z c e n n e!

W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, kiedy dyrektorem Teatru Narodowego w Warszawie był Kazimierz Dejmek, miało miejsce zdarzenie, które opowiedział wspaniały aktor Wiktor Zborowski. Dodam, że mój zacny koleżka po fachu w tym czasie uczęszczał jeszcze do warszawskiego liceum im. Mikołaja Reja, a ową historyjkę zrelacjonował mu jego stryj, nieodżałowany Jan Kobuszewski.

W teatrze zdarzył się incydent, mianowicie kilku kolegów z zespołu spożywało

w godzinach pracy alkohol. Dotarło to do Dejmka, który zbulwersowany tym faktem wydał oświadczenie:

W TYM TEATRZE ALKOHOL WOLNO SPOŻYWAĆ TYLKO W OBECNOŚCI DYREKTORA!

Następnego dnia, w przerwie próby „Mątwy” i „Jana Macieja Karola Wścieklicy” w reżyserii Wandy Laskowskiej, o dwunastej w południe, przyszli do gabinetu dyrektora aktorzy: Jan Kobuszewski, Aleksander Błaszyk, Zdzisław Szymański oraz genialny inspicjent Franciszek Gołąb. Dodam, że wszyscy ci panowie byli ulubieńcami Kazimierza Dejmka.

– Wolnoż wstąpić? – zapytał Kobusz cytatem z „Zemsty”.

– Bardzo proszę – odwzajemnił Dejmek, nie odrywając wzroku od mnóstwa

papierów zalegających jego biurko.

Panowie weszli, usiedli przy stoliku vis a vis dyrektorskiego blatu, przykryli stolik gazetą, wyjęli chleb, kaszankę, kieliszki, pół litra i z pełną powagą zaczęli spożywać drugie śniadanie. Dejmek zaniemówił. Odebrał wzrok od papierów i po chwili ochryplym głosem wycedził:

– Co wy tam, kurwa robicie?

– No jak to? – odpowiedział Kobusz. – Przecież sam Kazieńku po-

wiedziałeś, że wódeczkę w teatrze można spożywać tylko w twojej obecności. – I dalej uskutecznił konsumpcję.

Dejmek przez chwilę milczał, wreszcie wstał, wyjął z kredensiku kieliszek, podszedł do przyjaciół i zapytał:

– A dyrektorcio to chuj!?

PS. Oczywiście zostało mu nalane i wspólnie dokończyli śniadanko. Następnie udali się do pracy – każdy do swojej. ■



Erwin Axer

Quo vadis kulturo?

Co czeka holenderską kulturę?



MAŁGORZATA DOSZCZAK

Na początku lipca stery w Holandii przejęła nowa prawicowa koalicja. Po prawie 13 latach ze stanowiska premiera odszedł Mark Rutte. Zastąpił go Dick Schoof – właśnie minęło 100 dni jego rządu. Chociaż nie ma on na razie tak wielkich zębów, jakich się spodziewano, zdecydowanie zmieniły się priorytety. I kultura niestety nie stoi na szczycie ich listy.

Holandia kulturą stoi. Muzea pełne dzieł dawnych mistrzów pędzla to oczywiście wizytówka Niderlandów. Ale Holandia to kraj, w którym przeciętny mieszkaniec chodzi nie tylko do kina, ale i teatru. Słucha muzyki popularnej i nieco poważniejszej. Chodzi do muzeum – prawie 1,4 miliona osób ma roczną kartę wstępu. I przede wszystkim czyta książki – średnio 12 rocznie. 60-65% osób uczestniczy w tworzeniu kultury, przede wszystkim amatorsko. 6% wszystkich Holendrów, czyli milion osób, angażuje się w wolontariat w instytucjach kulturalnych. Nie ma więc wątpliwości, że kultura jest społecznie ważna. Choć,

podobnie jak wszędzie na świecie, mocno niedoinwestowana. Pensje w sferze kultury są niższe niż w innych sektorach, a większość pracowników (nie licząc wolontariuszy) to samozatrudnieni, którzy również wystawiają niższe faktury od kolegów z innych branż.

To oczywiście konsekwencja publicznego charakteru finansowania kultury. Problem znany od zawsze. Nierozwiązywalny i narastający, również z przyczyn nieekonomicznych, n.p. zmian społecznych po pandemii. Niestety możemy się spodziewać dalszej erozji kultury dzięki planom nowego rządu.

Rząd Schoofa napisał program na długie 130 stron. Pragmatyczny, jak się chwali. Niestety nie tylko rozdziału zatytułowanego kultura, ale i w ogóle tego słowa, w nim nie znalazłam. Nie ma więc w ogóle wizji



kultury w najbliższej przyszłości. To może nawet i dobrze. Kultura powinna przecież rodzić się w duszy twórcy, a nie być zadekretowana. Rządzący patrzą na kulturę wyłącznie przez pryzmat ekonomiczny. Stąd jasna wizja oszczędności na kulturze: 200-350 milionów euro rocznie przez obniżenie subsydiów i podwyżkę VAT. Pieniądze przydadzą się na ważniejsze sprawy.

Co to oznacza dla kultury? Osoby związane z branżą są przerażone. Przewidują, że ich możliwości tworzenia zostaną znacząco zredukowane. Nie będą rosły, już teraz niskie, płace w sektorze. Instytucje kultury i niezależnych artystów dotkną cięcia dotacji. Wielu twórców nie będzie mogło zrealizować swoich pomysłów. Uczelnie artystyczne zmniejszą liczbę studentów. Dotknie je dodatkowo polityka ograniczania internacjonalizacji, która dla tego środowiska jest niezwykle ważna. A wszystko to ostatecznie zmniejszy dostęp do kultury dla przeciętnego Smita i de Vriesa: Wzrosną ceny biletów do teatru, na koncerty i do muzeów. Droższe będą książki i abonamenty biblioteczne. Branża kultury określa nową politykę kaalslag, czyli wycinką. Pojęcie to stosuje się zwykle do przemysłowego wyrębu lasów aż do gołej ziemi, jak to się dzieje z lasami tropikalnymi. Ponura perspektywa. Na szczęście historia uczy, że nawet na nieurodzajnej glebie zawsze coś wyrasta. Często bardziej doskonałe niż poprzednio. Czy czeka nas wielki urodzaj na polu kultury? Oby tak było! ■

Melodie z Polski

Talenty z „The Voice of Polonia” – niedziela 17 listopada – KIELZOG, Hoogezand

Piosenka odzwierciedla społeczeństwo, z którego pochodzi, ze wszystkimi aspektami związanej z nią kultury i tożsamości. W Polsce muzyka odgrywa istotną rolę w życiu codziennym, ale także podczas rozmaitych uroczystości, od świeckich po religijne. Łączy rodziny i przyjaciół. Serdecznie zapraszamy wszystkich na to muzyczne święto, podczas którego będziemy mogli wspólnie dzielić emocje i uczucia polskiej radości i melancholii.

Organizator koncertu Sebastian Demydyczuk zaprasza.

„Scena Polska w Holandii – Pools Podium” poleca! ■



Zorza w ogródku

MAŁGORZATA DOSZCZAK

Świat zmienia się na naszych oczach. I to całkiem dosłownie. Zjawiska takie jak zorza polarna były jeszcze niedawno tak rzadkie, że ich doświadczenie oscyloowało gdzieś w okolicach dotarcia do końca tęczy.

Jako dziecko widywałam zorzę tylko na zdjęciach zrobionych przez podróżników, którzy odważyli się dotrzeć do okolic podbiegunowych. Kiedy dorosłam okazało się, że przy dzisiejszych możliwościach transportowych zorzę może zobaczyć każdy, kto zimową porą zainwestuje w bilet tanich linii lotniczych do Tromsø czy Reykjavíku. Niestety, chociaż na urlop wybieram coraz częściej kierunki północne niż południowe, nigdy jeszcze nie dotarłam na północ w odpowiednim czasie.

Tymczasem okazało się, że nie muszę. Od niedawna zorzę polarną mogę widywać we własnym ogródku. Od czasu, kiedy w zeszłym roku widziana była w naszych



okolicach kilkakrotnie wciągnęłam się w jej tropienie. Śledzę prognozy w aplikacjach, podglądam popularnych obserwatorów w mediach społecznościowych, a kiedy nadchodzi właściwy moment zarywam noce. Najpierw szukałam naprawdę ciemnych miejsc, gdzie nie docierają światła miast i szklarni. Niestety kilka razy przeżyłam rozczarowanie. Pomimo godzin wypatrywania nie zdarzyło się nic. Teraz wychodzę na po-

lder, zaraz za domem i w tym roku widziałam zorzę już trzy razy. Chociaż ledwie dostrzegalne gołym okiem łapię ją na zdjęciach. Mimo mojej fotograficznej nieudolności połączonej z lenistwem (nie udało mi się jeszcze uzyskać odpowiednich ustawień aparatu i nie chce mi się nosić statywu), prezentuje się już całkiem udanie. Ale najważniejsze jest samo przeżycie: najpierw entuzjazm, nadzieja, oczekiwanie, potem zachwyt i satysfakcja. Niby mała rzecz, a cieszę się jak dziecko.

Podobno w najbliższych miesiącach czekają nas jeszcze większe fajerwerki, ponieważ wchodzimy w szczyt 11-letniego cyklu słonecznego. Oznacza to dalszą intensyfikację wiatru słonecznego docierającego do pola magnetycznego Ziemi. W konsekwencji zorza będzie pojawiać się częściej, również na naszych szerokościach geograficznych. Czekam z niecierpliwością. Będę jej wypatrywać za każdym razem. Może w końcu nauczę się dobrze operować aparatem i w końcu zarejestruję spektakularne zdjęcia. A może nawet wybiorę się na północ? Kto wie... ■

Przypomnij sobie smaki PRL-u



MAREK GRĄDZKI

„Jesień, jesień, ostatni opadł już liść...” – to słowa piosenki, ale ten czas zbliża się nieubłaganie. Co prawda, Szanowny Czytelniku, ja już powoli przestaję rozumieć tę naszą rzeczywistość. Huśtawka temperaturowa zupełnie zwariowana, do tego niby ulewy zalewające ulice naszych miast, a na polach zagrożenie suszą. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio spadł siąpiący kapuśniaczek, tak sycący ziemię przez co najmniej kilka godzin. Niestety źle się dzieje, owoców będzie w tym roku tyle co kot napłakał. Jabłka wymarzyły a potem wyschły, śliwek niewiele. Zalewa nas import z Bałkanów i innych odleglejszych stron. Przyjdzie mi uprawiać banany? Ale prze-

cież ja się na tym nie znam! W tym momencie przypomina mi się stara anegdota jak to leciwa, francuska hrabina zapytana, jakie czasy wspomina najczulej, bez namysłu odpowiedziała – rewolucji. Ależ Madame, wtedy ścinano arystokratów! No cóż, prawda, ale ja wtedy byłam młoda. Ze mną może być tak samo, jeszcze trochę i z rozrzewnieniem zacznę buczeć za czasami ustroju słusznego minionego. Nie, nie, tak daleko się nie posunę, moje dzieci by tego nie zrozumiały.

Moja nostalgia posunie się tylko do wspominek gastronomicznych. Otóż przyszedł mi na myśl jadany wtedy w restauracjach z górnej półki, takie też bywały, bryzol wołowy, podawany ze smażoną cebulką i obowiązkowo pieczarkami. Sama myśl o tym daniu i reminiscencja zapachowa powoduje, że dostaję ślinotoku. Moje Ślubne Szczęście podjęło się realizacji tego trudnego zadania. W dawnych czasach surowiec, którego używano do takiego zadania nie był najlepszej jakości. Wiązało się to z trudnościami aprowizacyjnymi tamtego rynku. Częstokroć fałszowano danie zastępując część wołowiny łatwiej dostępną wieprzowiną. My poszliśmy na całość. Przywiozłem piękną polednicę wołową, która następnie została średnio-cienko posiekana, przyprawiona w najprostszy

sposób, by nie zabić smaku mięsa, jedynie solą i pieprzem, następnie odstawiona do chłodni, by dojrzała. Kasia uklepywała foremne cienkie placki, które następnie kładła na mocno rozgrzaną patelnię pociągniętą jeno wołowym łojem, by smaku nie zgubić. Krótko przesmażony bryzol z obu stron wędrował na bok angielski, wszak my - kuchnia historyczna gotujemy wszystko na żywym ogniu, bez żadnej ściemy. Na drugich patelnicach złościła się średnio-drobno posiekana cebulka i pokrojone w plasterki pieczarki, puree i buraczki z masłem. Wtedy nadchodził czas na łączenie wszystkiego na talerzu. Do bryzola szło puree z utuczonych ziemniaków podciągniętych śmietaną, buraczki na ciepło i surówki z tego, co matka ziemia daje. Wyglądało imponująco, a smakowało niezmiernie. Linie w Ogniu gdzie to danie powstawało zasłużyło sobie na miano kuchni historycznej, mimo że tym razem nawiązaliśmy do nieodległej przeszłości. Jak nam przyjdzie ochota, to może na przedzimi upichcimy drugi wynalazek tamtych czasów, czyli rumsztyk. Teraz nie będę zdradzał tajemnic kuchni, czym te dwa dania się od siebie różnią. Ale Szanowny Gościu, jak Cię losy w nasze strony rzucą, zajrzyj do naszego weekendowego biesiadownika. Nakarmimy Cię godnie! ■



„Polsko-niderlandzkie Kulturobranie 2024 w Nowej Róży”

Na początku sierpnia w Nowej Róży odbyło się „Polsko-niderlandzkie Kulturobranie 2024 w Nowej Róży”, którego pomysłodawcą i organizatorem była Fundacja „hOlendry”.

W uroczym, leśnym zakątku i Olęderskim klimacie znalazł się czas na: plener malarski, warsztaty filmowe, poezję i muzykę na żywo, a wszystkiemu towarzyszyła wiklina, ozdoby kwiatowe i wiele innych niespodzianek.

Nie sposób opisać atmosfery, która towarzyszyła kilkudniowemu pobytowi artystów w miejscu, sprzyjającemu twórczości, odpoczynkowi od codziennych trosk i przyjacielskiej integracji. Podczas trzydniowych



warsztatów przeprowadzono m.in.: polsko-niderlandzki plener malarsko-fotograficzny, warsztaty filmowe, prezentacje artystyczne pt. „Sąsiedzkie talenty”, pokazano wystawę pamiątek poświęconych pamięci prof. Jędrzeja Stępa pt. „Tutaj był u siebie”, a w klimatycznym, zabytkowym pomieszczeniu, etnograf Witold Przewoźny zachwylił wykładem pt. „Olendrzy – zagmatwana historia”.

Wśród uczestników i gości: władz gminy i powiatu, placówek i towarzystw kulturalnych, Nadleśnictwa i harcerstwa, dyploma-





cji i nauki, byli sąsiedzi i przyjaciele z bliska i z daleka. Biegające po trawie małe dzieci, dostojni 90-ciolatkowie, profesjonalni artyści i ci, którzy po raz pierwszy chwycili za pędzelek, sąsiedzi mieszkający tuż za lasem i przyjezdni z daleka.

Nie do wiary, ale nasz przyjaciel Martin Putto z Rotterdamu, zaprosił swoją dziewczynę Elly na krótki wyjazd do Polski i do wspólnego udziału w tym wydarzeniu. On rysownik, ona kompozytorka i muzyk.



„Ale załatwcie gitarę! Bo w pociągu trudno ją przewozić na dwa dni do Polski!” - prosił. Tak, właśnie na dwa dni bo na tyle mieli wolnego czasu, wybrali się w podróż pociągiem, aby wziąć udział w Kulturobraniu. Martin przywiózł swoje grafiki, a Elly uroczyła zebranych krótkim koncertem. Na sam koniec spotkania artystów, dla wszystkich, zagrał młody, ale bardzo utalentowany zespół z Bukowca pod nazwą „Dwie trzecie”.

I jak tutaj dalej opowiedzieć jak brzmi w lesie muzyka sygnałistów myśliwskich zespołu „Palatium” z Nadleśnictwa Grodzisk? Nie da się. Trzeba przyjechać za rok na kolejne „Polsko-niderlandzkie Kulturobranie 2025 w Nowej Róży” na które wszyscy już teraz się umawiają. Tegoroczny plener honorowym patronatem objęli Burmistrz i Starosta, a finansowo wsparli Marszałek Województwa Wielkopolskiego i Fundacja Gawrońskich. Dziękujemy!

Reportaż do obejrzenia na <https://www.youtube.com/watch?v=asM9LPI4fo>

ZOFIA SCHROTEN-CZERNIEJEWICZ.



Ach, ty lato...

*Ach ty lato, czasie bujny, sprzedajny
Mącisz świat kurzem, żarem i błotem
Już żartoczne, tytaniczne kombajny
Z pól wymiotły szumiącą poźłotę,
Lekką mgiełką zakurzone są drogi
Grzybną wonią las pachnie i deszczem
Wały stomy ułożono już w stogi
Ale nic, toż to sierpień jest jeszcze.
Nieporadne, młode bociany
Ojciec uczy łowić myszy na ścierniach,
A świat zastygł, i trwa zastuchany
Jakby nagle w zamyśleniu oniemiał...
Gdy odleć, już za 3 tygodnie
Porzucając stare gniazda na chatach
Na szerokich ich skrzydłach wygodnie
Lecieć będą ostatnie dni lata.
A tak jeszcze niedawno, gdy brodząc
Przez dojrzalej pszenicy tan nocny
Przy księżycu, który ledwie wschodząc
Wznosił sierp, a aromat zbóż mocny
W głowie mieszał jak puchar szampana
W krąg – świetlików wirujących klejnoty
Chciałbym iść przez ten łąk aż do rana
Ach ty lipcu, zapomniany już, złoty...
Już tam skryta mgieł porannych woalem
Idzie jesień, szumna, barwna, bogata
Też ją kocham. A i tak myślę z żalem
Mija lato. I tak płyną lata.*

Maciej Kolańczyk, Nowa Róża 4 sierpnia 2024



Najważniejszy przedmiot na maturze



ALICJA GRYGIERCZYK

Spotkanie mojej klasy licealnej. Brakuje Julii, która siedziała w ławce za mną. Skromna pod każdym względem dziewczyna, którą kiedyś na jej drodze życia spotkał bogaty Włoch, zakochał się i poprosił o rękę. Julia wyjechała do Wenecji i kontakt z nią się urwał. Któregoś dnia dowiedzieliśmy się, że w naszym mieście ktoś kupił i remontuje starą zabytkową kamieni-

cę. Kiedyś w bardzo złym stanie, stała się teraz perełką rynku, prawdziwą jego ozdobą. Miasto zawdzięcza to mężowi Julii. Nasza klasa po zdaniu matury „wyfrunęła w świat”. Nie mieliśmy kontaktu przez wiele lat. I nagle zaczęliśmy się spotykać: nauczyciele, politycy, sędzina, lekarz, właściciele dobrze prosperujących firm. Zapropnowałam, żeby każdy z nas opowiedział coś o sobie, o tym jak potoczyły się jego losy po zdaniu matury. Pomysł jednak nie chwycił i zostaliśmy przy stole z przypadkowymi towarzyszami rozmowy. W pewnym momencie Maciek, klasowy fotograf, powiedział, że spotkał się z Julią. Był w Wenecji, odnalazł ją, ma jej zdjęcia. Każdy chciał je zobaczyć. Zdjęcia przechodziły z rąk do rąk, a wraz z nimi komentarze: „ma nabotksowaną twarz”, „nie, chyba nie”, „ale oczywiście, że tak, biust też ma powiększony”, „zawsze

miała duży”, „co ona ma na sobie?”, „widziałam kiedyś jej męża na rynku, był z młodą dziewczyną, to nie była Julia”. Komentarze te były jak piłki wyrzucane w powietrze i odbijane w towarzystwie śmiechu. Kiedy temat Julii został wyczerpany, pojawił się temat Gabi, również nieobecnej. Gabi była inna. Lubiłam ją. W każdym kontakcie odkrywałam w niej coś nowego, ciekawego, intrygującego. I właśnie ta jej inność była tutaj wspominana i...wyśmiewana. Cofam się myślami do liceum, do klasy w której spotykaliśmy się codziennie przez cztery lata i przyswajali podaną nam na tacy wiedzę. Wszyscy zdaliśmy maturę. Myślę, że w naszej edukacji zabrakło bardzo ważnego przedmiotu: rozwoju osobistego. Mam nadzieję że zostanie on kiedyś wprowadzony do szkół i traktowany jako jeden z najważniejszych przedmiotów na maturze. ■

Wakacyjne pamiątki

JERZY SKOCZYŁAS

Powracają z wakacji rodacy,
pustoszeją wczasowe zakątki,
razem z nimi wracają w walizkach
bliskie sercu każdemu pamiątki.
Ktoś ma w torbie góralski kapelusz,
ktoś ciupagę, co kumple dla hecy
wyłudzi w gospodzie od bacy,
odkupili i wbili mu w plecy.
Inny wiezie pamiątki znad morza.
model kutra i czapkę sternika,
a ów w drodze zahaczył o Toruń
więc popiersie taszczy Kopernika.
Jeden w torbie ma piasek z Rewala,
sztuczny bursztyn i muszlę z Darłowa,
tamten znowu plastikowy Wawel,
bowiem zwiedzał zabytki Krakowa.
Ma też zdjęcie wawelskiego smoka,
który zżerał krakowskie dziewice,
a od jednej ze wspomnianych dziewic
dostał jeszcze stringi i spódnice.
Inny wiezie prościuteńko z Mazur

funt tytoniu do mazurskiej fajki
i koszulkę zdobną w barwny napis:
– I’love Śniardwy, Pisz i Mikołajki.
Ktoś tam targa posążek Neptuna,
ktoś łowicką zapaskę i kierpce,
stoik miodu, filcowe bambosze
i nalewkę co dobra na serce.
A gdy przyjdą zimowe wieczory,
kiedy wino z bliskimi się sączy,
oglądając pamiątki z wakacji
wprawne oko dojrzy co je łączy.
Bo nieważne czy z gór są czy z jezior,
czy pochodzą z Ustki czy Trembowli,
jest w pamiątkach jeden wspólny wymiar,
wspólna cecha i wspólny mianownik.
Jest w nich prawda prosta i banalna,
to co łączy je i w jedność spina,
że bez względu na to gdzie kupione,
wszyściuteńkie wykonano w Chinach. ■

Inspiracje nie tylko kobiece, czyli „Z deszczu pod rynnę” Ewy Niepokulczyckiej

GRAŻYNA GRAMZA

Informacja o spotkaniu autorskim z Ewą Niepokulczycką wpadła mi przypadkiem na Facebooku. No, może niezupełnie przypadkiem, bo od niedawna trochę z zazdrością obserwuję wydarzenia w bibliotece w Helmond i widzę, że dzieje się tam sporo interesujących rzeczy. Nie jestem mieszkanką tego miasta, co trochę utrudnia mi kontakt, ale ostatecznie Helmond nie leży na końcu świata i postanowiłam się tam wybrać.

Wydarzenie zorganizowała Olga Oziemblowska, jak się okazało, inicjatorka „Kobięcych inspiracji”, które od ponad roku cieszą się coraz większym zainteresowaniem. Tym razem tematu do spotkania dostarczyła paniom (i jednemu panu) książka „Z deszczu pod rynnę”, w której autorka stara się odpowiedzieć na pytania, dlaczego Polacy decydują się na emigrację, co nimi kieruje, jakie mają cele i czy pobyt za granicą jest rzeczywiście spełnieniem ich marzeń? Autorka, przytaczając historie kilku(nastu) bohaterów, stara się wczuć w ich sytuację życiową, nie ocenia ich, a raczej im kibicuje, chociaż nie jest to łatwe, bo czasem sami przecież gotują sobie zły los. Ewa Niepokulczycka opisała w sposób sfabularyzowany historie ludzi, którzy powierzyli jej swoje marzenia i sekrety, którymi czasem musiała potrząsnąć (z racji swojej pracy), i tymi, którym nie udało się pomóc. Autorka pracowała m.in. w fundacji „Barka”, zajmującej się ludźmi bezdomnymi, była rekruterką, a obecnie jest pracownikiem socjalnym. Jest także ambasadorką i felietonistką fundacji zajmującej się migrantami zarobkowymi (Stichting Bewonersbelangen Arbeidsmigratie). Na spotkaniu przyznała się, że pisanie było dla niej swoistą terapią, a także do tego, że trochę czasu zajęło jej zrozumienie, że każdy musi wziąć odpowiedzialność za siebie, a osoba z zewnątrz może pomóc tylko wtedy, gdy on sam jest gotowy na zmianę. Książka wrze od emocji i trudno nie wczuć się w położenie jej

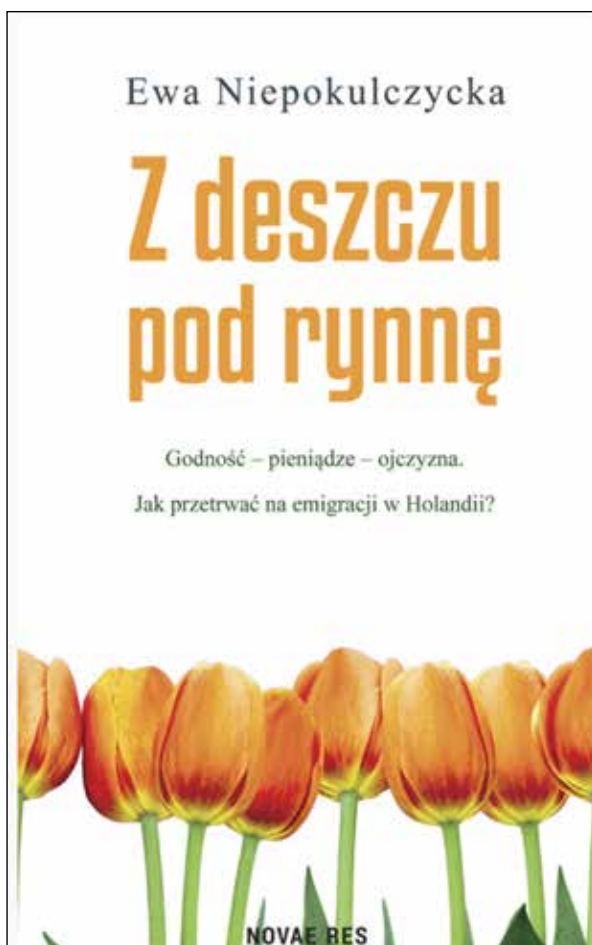
bohaterów, bo prawie każdy kto ma doświadczenie emigracyjne może odnaleźć tam cząstkę siebie. Ewa Niepokulczycka napisała ją też ze złości na sytuację Polaków we własnym kraju i niezgody na traktowanie rodaków w Holandii. W książce spotykamy bohaterów – reprezentantów różnych środowisk, ludzi o różnym statusie

ze względu na duszną i nietolerancyjną atmosferę w ojczyźnie. I niestety czasem wpada „Z deszczu pod rynnę”, jak Mika, który chciał wreszcie być akceptowanym pomimo swojej odmienności seksualnej, a trafił w środowisko rodaków, którzy byli jeszcze gorsi niż ludzie, od których uciekał.

Ewa zadała słuchaczom pytanie o to, co chcieliby „wziąć” od Holendrów dla siebie, a także o to, czym mogliby się z nimi podzielić? Tu padły interesujące propozycje, ale wszyscy się zgodzili, że moglibyśmy mieć wyższą samoocenę, tym bardziej, że to właśnie poczucie własnej wartości przekłada się na sukcesy w relacjach międzyludzkich i odczuwanie szczęścia. Również warto byłoby nauczyć się od Holendrów dystansu i współpracy, a sami moglibyśmy „dać” naszą spontaniczność i gościnność. Tę ostatnią ceną sobie ci, którzy już mieli okazję jej zaznać, a cudzoziemcy, którzy bliżej poznali nasz kraj często chcą w nim zamieszkać, a w każdym razie do niego wracać.

Pytanie „Jak przetrwać na emigracji?” nie padło, ale odpowiedzi na nie wybrzmiały przy okazji. W skrócie można powiedzieć, że warto nauczyć się języka kraju, w którym przyszło nam żyć i być otwartym na nową kulturę, a szanować własną. To ona nas łączy i daje nam oparcie. Brzmi banalnie, ale chyba nie ma lepszej rady – jak zaczniesz rozumieć, co mówią inni, zaczniesz też się na nich otwierać, bo przecież „Granice mojego języka wyznaczają granice mojego świata” (Ludwig Wittgenstein). A czemu nie czuć się swobodnie w obu miejscach, w których przyszło nam żyć? To filozofia i ścieżka życiowa autorki, którą realizuje od 30 lat, kiedy do Holandii przyjechała zakochana i zdecydowana znaleźć tu szczęście. ■

Informacje na temat spotkań z cyklu *Kobiece Inspiracje* można znaleźć na profilu Olgi Oziemblowskiej <https://www.facebook.com/profile.php?id=100086800057918> z biblioteki w Helmond: <https://www.bibliotheekhelmondpeel.nl>



Książka ukazana się w 2023 roku nakładem wydawnictwa Novae Res i jest dostępna w sprzedaży na stronie: <https://bit.ly/44PpOV2>

społecznym, światopoglądzie i to im autorka oddaje głos, kreśląc w doskonały sposób sylwetki wybranych postaci oraz próbując zrozumieć ich sposób myślenia i postrzegania świata.

Podtytuł książki brzmi: „Godność – Pieniądze – Ojczyzna” i w nim znajdujemy odpowiedź na pytanie – dlaczego wyjeżdżamy? Przede wszystkim żeby poprawić swój byt materialny, ale ... Wiele osób wyjeżdża

Święta Góra



ALEK SILBER

Idąc za radą studenta w Atenach, Witek postanowił wyprawić się na górę Atos. Aby się tam dostać, musiał najpierw załatwić wizę w Atenach, gdyż jest to teren autonomiczny, potem pojechać na północ kraju, aż za Saloniki, stamtąd do małej wioski Hierissos i łódką na półwysep Hagion Oros. Tam mógł bez ograniczenia gościć w dowolnym klasztorze.

Po kilku dniach podróży Witek dotarł do świętego miejsca. Po odprawie celnej i dokonaniu formalności zarzucił torbę na plecy i ruszył górską ścieżką w kierunku najbliższego monasteru, gdyż styczniowa aura nie sprzyjała dłuższemu marszowi. Był to jeden z większych klasztorów na górze Atos. Na dziedzińcu spotkał mnicha i gestem usiłował mu wytłumaczyć, że przybył tu w go-

ścinę. Widocznie mnich to zrozumiał, bo zaprowadził go do mrocznej celi, czyli pokoju gościnnego. Cztery pobielone ściany, krzesło, stół i koja stanowiły całe wyposażenie godne klasztornej celi. Za oknem deszcz bębnił monotonnie w wiekowe rynny.

Witek usiadł na krześle i nagle zdał sobie sprawę, że nigdzie się nie spieszy i nikt na niego nie czeka. Wyjął z torby parę rzeczy, kartki i pióro. Spojrzał na zegarek, do obiadu była jeszcze godzina, a od rana nic nie jadł. Wszedł rozejrzeć się na krużganek. Obok jego pokoju była następna cela i następna, na prawo i na lewo, piętro wyżej, na dole, a wszystkie puste. Żadnego dźwięku ani ruchu ni człowieka, ni ptaka, tylko ten deszcz i brzęk rynien. Zrobiło mu się zimno, wrócił do celi i owinał się kocem, który cuchnął, pewnie nigdy nie był prany. Jego powierzchnia była tłustawa, zupełnie nie ogrzewał. Cóż było robić? Wszedł ponownie na ganek i zaczął biec w miejscu. Już zaczynał się rozgrzewać, kiedy poczuł na sobie czyjś wzrok. Na przeciwległym krużganek zobaczył mnicha, który patrzył na niego z dezaprobatą.

Witek wrócił do celi, z niecierpliwością czekając na porę obiadową. Oczyma wyobraźni widział suto zastawione stoły, pu-

chary wina, roześmiane twarze biesiadujących mnichów, może cichy dźwięk lutni. Konfrontacja z rzeczywistością była bolesna. Na dużej, zimnej sali, przy końcu długiego, drewnianego stołu siedzieli posępni mnisi. Podano zimną zupę o brunatnym kolorze i odrzucającym smaku. Po niej bliżej nieokreślonej masę też niejadalną. Ostatnią nadzieją był chleb. Niestety, małe, ciemne i twarde jak kamień bochenki okazały się również niestrawne.

Wrócił więc do swojej celi głodny i gotowy ruszyć w dalszą drogę. Miał nadzieję, że w klasztorze rosyjskim przynajmniej będzie się mógł jakoś dogadać, chociaż jego znajomość rosyjskiego była bardzo skromna. Tylko ten deszcz! Ścieżka do Pantelejmon określona była na sześć godzin marszu przy dobrej pogodzie. Perspektywa pokonania tej trasy w deszczu ze śniegiem trochę go przerażała, zwłaszcza że pepegi i płaszcz ortalionowy nie były adekwatnym sprzętem do wędrowki górskim szlakiem w styczniową słotę.

Zmierch zapadł szybko. Witek zapalił kaganek, rozłożył papiery, owinał się w koc i siadł przy stole. W szybie małego okienka zobaczył skupioną twarz z brodą i fajką w ustach. Twarz niby znajoma, a zarazem



dziwnie odmieniona, nieznana. Może to migoczący płomyk świeczki lub wiekowa rama otoczona metrowym murem tak ją zmieniły? A może to mokre gałęzie drzew gięte podmuchami wiatru? Kiedy tak siedział, grzejąc ręce przy wątlm płomyku, poczuł się bardzo oddalony od świata. Bywał w australijskim buszu, na oceanach, na dalekich szlakach, nigdy jednak nie doznał takiego poczucia izolacji. Jakże nierealne wydawało się to wszystko, co jeszcze niedawno było normalnością: dom, rodzina, przyjaciele, praca. Nawet wydarzenia sprzed tygodnia, ostatnie dni – Ateny, tawerna w Salonikach – stawały się abstrakcją, niby prawdziwe, a przecież nie z tego świata. Nagle wszystko nabrało innego wymiaru. Bo oto siedział w celi, która zapewne pozostała niezmienną przez tysiąc lat i nie było tu niczego, co wskazywałoby na to, że czas ten przeminał. Nie było radia ani gazety, elektryczności, nawet torebki plastikowej.

Nagle znalazł się w jakiejś innej rzeczywistości. Myśli, jak w przyspieszonym filmie, przelatywały przez lata, kontynenty, pocałunki i łzy, od jutrzeńskich zachodów. Wirujące obrazy spletały się z dymem fajki, by po chwili niknąć za maleńką szybką w podmuchach styczniowej wichury. Kiedy Witek spojrzął na prycę i puste ściany w migającym blasku kaganka, poczuł się nieswojo, bo ze ścian zaczęły wyłaniać się widma znanych postaci: Hamlet z czaszką na dłoni, ojciec Zosima, Syzyf, Faust. Szli w jego kierunku. Na ich twarzach ukazywała się na przemian groza, to znów dobroć i pobłażliwość. Witek nie dziwił się niczemu, starał się usłyszeć, co mówią, chwycił za pióro, aby to utrwalić, ale ich słowa zagłuszał wiatr i bijący o szyby deszcz. A była to unikalna szansa uchwycenia nieuchwytnego, zrozumienia niezrozumiałego. Witek mocniej wyteżył słuch, wpatrując się w ich twarze, gesty, spojrzenia. Nagle pokój pojaśniał w świetle błyskawicy, zadrżał hukiem pioruna, widma i majaki zniknęły. Mimo zimna na jego czole pojawiły się kropelki potu.

Rankiem wyruszył w drogę. Wiedział, że musi się ruszać prędko i bez przystanków, aby nie utracić wewnętrznego ciepła. Idąc, starał się wyobrazić ten krajobraz w letni, słoneczny dzień. Stoki gór pokryte cyprysami odbijającymi się w lazurowej tafli wody, dwunastowieczne mury wyrastające wprost z dzikich skał w szafrowe niebo, ciepły wiaterek od morza i radosny śpiew ptaków.

Z czasem deszcz zmieniał się w śnieg, a wiatr stawał się bardziej dokuczliwy. Woda na ścieżce sięgała już powyżej kostek. Witek czuł ją wszędzie, na twarzy, na plecach, na nogach. Przez chwilę pomyślał, co by się stało, gdyby teraz upadł, zwichnął nogę, ale szybko odrzucił te myśli. Z czasem coraz trudniej było dostrzegać uroki tego miej-

scą, a myśli krążyły tylko wokół jednego: dotrzeć, znaleźć się w suchym i ciepłym pomieszczeniu, zjeść kawałek normalnego chleba, wypić coś gorącego. Wzrok starał się przebić mgłę, by chociaż w oddali dostrzec sylwetkę upragnionego klasztoru. Czas przestał istnieć, nie wiadomo, czy Witek szedł tak godzinę czy rok, zresztą było mu już wszystko jedno, pragnął jedynie dojść.

Mijały godziny. Kiedy już stracił nadzieję, spoza szarej ulewy ukazała się upragniona sylwetka klasztoru. Okrążając wysoki mur, dotarł wreszcie do bramy i stanął na niewielkim dziedzińcu. Ze wszystkich stron był on otoczony wysokimi ścianami budynku z dziesiątkami okien. Nadal nie było widać wejścia ani żadnego śladu życia, najmniejszego ruchu. Jedynie woda tryskała z otwartych paszcz smoków zdobiących wyloty rynien. Witek stanął pośrodku dziedzińca i zwinąwszy ręce w trąbkę, krzyknął z całych sił, usiłując przebić szum deszczu. Po kilku próbach gdzieś w górze ukazała się sylwetka mnicha. Nie wiadomo, czy był bardziej przerażony, czy zdziwiony, jakby sam diabeł przybył tu z zimowej zawiei.

Podczas gdy Witek mył się w misce z zimną wodą, wokół zebrał się mieszkający mnastyru, mała grupka staruszków. Patrzyli na przybysza, nie wierząc własnym oczom. Jednak w czasie rozmowy lody stopniowo topniały i wkrótce przygotowano jego pokój, rozpalono w piecu, a mnich, który został opiekunem gościa, przyniósł jedzenie. Witek wszedł do środka, usiadł przy gorącym piecu i po raz pierwszy z uśmiechem spojrzął na ociekające wodą szyby. Cieszyła go suchość koszuli, ciepło pokoju i smak chleba z cebulą. Nigdy mu nic tak nie smakowało. Nagle poczuł się szczęśliwy. Nie tylko Atos i Grecja, lecz cały świat zdawał się leżeć u jego stóp, bo tak niewiele człowiekowi potrzeba do szczęścia.

Jego opiekun wyglądał na czterdzieści pięć lat, był jednym z najmłodszych mnichów i w hierarchii klasztornej zajmował raczej niską pozycję. W jego zachowaniu więcej było z wieśniaka niż człowieka w służbie bożej. Chętnie wtajemniczał Witka w arkaną życia klasztornego i opowiadał niezwykle historie. Oprowadzał go po przesiąkniętych wilgocią salach, niegdyś tętniących życiem, dziś z opadającymi tynkami i wyblakłą farbą. W czasach świetności żyło tu dwa tysiące mnichów, teraz było ich zaledwie dwudziestu. Na ścianach wisiały wypłowiałe portrety i obrazy: hołd carski, klęczący bojarzy i szlachta, caryca Katarzyna przyjmująca paradę wojsk, z boku pop i klerycy.

– Mięso jest u nas zakazane, jego jedzenie wyzwala w człowieku zwierzęce instynkty – tłumaczył mnich. – Msza odprawiana jest trzy razy dziennie: o czwartej rano, o drugiej po południu i o ósmej wieczorem, ale

pamiętaj, że u nas obowiązuje kalendarz gregoriański. Po mszy zwykle podawany jest posiłek.

Ogromna sala przypominała Witkowi poprzedni klasztor. Tu też było zimno, stoły pokrywały podobne serwetki, a mnisi wyglądali tak samo. Przed posiłkiem należało poświęcić chleb. Wszyscy ustawiali się w kolejce, by umoczyć kawałek chleba w miseczce święconej wody trzymanej przez przeora. Kiedy przyszła kolej na Witka, zawartość miseczki była już w kolorze ziemi, więc tego chleba nie zjadł. Zresztą śniadania też nie. Uśmiechał się uprzejmie, patrząc na swoich towarzyszy jedzących z apetytem nieokreślone w smaku i w kolorze strawy. Okruchy jedzenia spadały na gęste brody, ginąc gdzieś w ich mrocznych czeluściach. Jedynie pomarańcze, których smak i czystość były pewniejsze, były jadalne.

Po śniadaniu podszedł do Witka jeden z mnichów, odróżniał się młodym i schludnym wyglądem. Ucieszył się ogromnie, że nareszcie będzie mógł z kimś porozmawiać po angielsku. Był Amerykaninem rosyjskiego pochodzenia, ale po rosyjsku mówił słabo. Zaprosił gościa na obiad do siebie: – Przecież widzisz, że tego nie da się jeść. – Witek chętnie przyjął zaproszenie i z ciekawością oczekiwał na wieczorną ucztę.

W celi zastał zupełnie inny świat. Na krzesłach leżały porozrzucane amerykańskie magazyny, aparat fotograficzny, maszyna do pisania. Amerykanin odbywał tu roczną praktykę, poprzedni rok spędził w Jerozolimie. Z małej kuchenki rozchodził się zapach egzotycznej potrawy. – Na obiad przygotowałem niespodziankę, zupę z ośmiornicy – powiedział gospodarz. Danie okazało się całkiem smaczne. Młody mnich był wyraźnie spragniony kompana do rozmowy, a ściślej mówiąc – słuchacza. Jego świat okazał się dziwniejszy niż świat miejscowych mnichów, oscylował pomiędzy czternastym a dwudziestym wiekiem. Gospodarz z jednej strony cieszył się niezmiernie z odziedziczenia po umierającym starcu pustelni w górach, z drugiej nie mógł się doczekać powrotu do Ameryki. Podobnie jak jego towarzysze w równym stopniu nienawidził katolików i Żydów. Jego nienawiść osiągnęła jednak stopień patologiczny. Sięgając po plik książek, nagle się ożywił. Wszystkie traktowały o wielkiej konspiracji i konieczności zgładzenia Żydów, a ich właściciel mówił o tym z pasją.

Na szczęście wizyta dobiegała już końca. Witek skorzystał z oferty pożyczania demonicznych lektur i powrócił do swojego pokoju. Tu do późnych godzin wertował publikacje mówiące o tym, jak to Żydzi planują zawładnąć światem, jak należy ten plan unicestwić i ocalić świat od domniemanej plagi. Wśród tej szatańskiej lektury były podręczniki ilustrowane, pokazujące, jak rozpoznać

c.d. na str. 18 >>>

»»» c.d. ze str. 17

semickie rysy: nos, usta, oczy. Były wreszcie propozycje, jak dokończyć niespełnione dzieło Hitlera.

Na białej ścianie pokoju widniał obraz Chrystusa, pokornie patrzącego z ikony. Witek spojrział na nos, oczy, potem przewertował stronicę książki, czy podobne? Szukał dalej. Usta, policzki. Nie, te były inne, wreszcie znalazł. To te. A więc nie uchowałby się, rozpoznaliby Go szatańscy antropologowie. Iwan Karamazow miał rację, gdyby Chrystus się tutaj dzisiaj pojawił, ukrzyżowałiby Go ponownie, nawet by nie wszedł do miasta. Tylko czy raz jeszcze by zmartwychwstał? I czy miałby ku temu siłę i ochotę?

Nazajutrz obudziło Witka ciche pukanie do drzwi. Jego opiekun widział, że gość do późna czytał, więc przyniósł mu śniadanie do łóżka. Zresztą ustalili, że stołówkowy wikt jest nieodpowiedni i że będą się żywili osobno. Dla zainaugurowania nowego życia opiekun zaprosił Witka na kolację do siebie. – Tylko ani słowa nikomu, absolutna tajemnica – powiedział. Tymczasem nieco się rozpogodziło i można było przejść się po okolicy.

Z tyłu, za kaplicą, znajdowała się stara szopka z półkami od ziemi do sufitu. Półki wypelnione były czaszkami i piszczelami, podpisanymi cyrylicą. Czasem wielkimi literami tylko imię – Ilia, to znowu pokryte długą inskrypcją, opisującą zasługi umarłego dla monasteru. Opiekun tłumaczył, że ciało mnicha grzebie się na kilka lat, do czasu, kiedy ze zwłok pozostają jedynie kości, które się wykopuje, podpisuje i układa w równym rzędzie na tych półkach. W ten sposób po pewnym czasie powstaje ściana pustych oczodołów i ust rozwartych w niemym krzyku. Czaszki, czaszki, setki czaszek. Każda z nich to jedno życie, najpierw płaczące niemowlę, potem chłopiec – nadzieja rodziców, młodzieniec wertujący strofy Biblii, czytający słowa prawdy i mądrości o życiu. Potem dojrzały mężczyzna w pełni rozkwitu. Wreszcie starzec, który wiele pojął, zrozumiał i wie, że niedługo braciszkiowie wypiszą jego imię tak, jak on kiedyś wypisywał dedykacje poprzednikom. Cały wszechświat ludzkiego losu: troski, nadzieje, radości, łzy, sukcesy i porażki, obawy i triumfy zamknięte w rozpaczliwych oczodołach czaszek.

Zapadł zmierzch i o ustalonej godzinie Witek zapukał do sąsiednich drzwi. Mnich rozejrzał się dokoła, szybko wpuścił go do środka i starannie zamknął drzwi na klucz. Twarz miał rozpromienioną, cieszył się z tego spotkania. Posadził gościa przy stoliku, a sam zaczął się krzątać przy dymiącym garnku.

Jego cęła była bardzo mała, mieściła zaledwie łóżko, stolik i dwa krzesła. Czy to ciepło pieca, czy też atmosfera tej wieczery powodowały, że było tu przytulnie.

Po chwili mnich wydobyl z za łóżka butelkę czerwonego wina. Zrobił to tak dyskretnie, jakby wymagała tego niezwykła konspiracja, a przecież wino nie było zakazane w klasztorze. Po napełnieniu kieliszków nałożył apetycznie wyglądające danie na talerze. Była to potrawa o konsystencji gulaszu, więc trudno było określić jej wartość. – Kura – wyszeptał. A miał taką minę, jakby sam Pan Bóg podsłuchiwał i miał ukarać nie tylko jego, ale i cały monastyr. Gdzie on to zdobył na Atosie? Nie wiadomo.

Zaczęli jeść, popijając winem. I jedno, i drugie było wyborne. Witek poczuł, jak jego ciało przenika przyjemne uczucie ciepła i sytości, podczas gdy wino wprawiło go w błogostan. Rozmawiali beztrudno, a kiedy oczy zaczęły świecić wesołością, gospodarz zapytał, czy włączyć muzykę? Po chwili rozeszły się dźwięki elektrycznych gitar. Mnich uśmiechał się swoim szarym, szczerbatym uśmiechem – tyle grzechów naraz!

Niska pryzca, małe okienko w grubym murze, cherlawy mnich, jego długie splecione włosy, czarna broda, wszystko to na tle bielonych ścian i rockowej muzyki stanowiło niezwykły obraz. Nagle Witek uzmysłowił sobie, że znalazł się na pograniczu dwóch epok odległych od siebie o osiem wieków. Z zamyślenia wyrwały go natarczywe gesty gospodarza. Starając się coś pokazać, pytał, czy gość chciałby obejrzeć obrazki. Myśląc, że chodzi o stare zdjęcia klasztoru, mnichów lub ikon, Witek chętnie przyjął zaproszenie. Mnich raz jeszcze rozejrzał się dla pewności, zannurczając rękę w czeluściach szuflady, coś tam poszperał i po chwili wyciągnął mały aparat z plikiem slajdów. Wziął jeden z nich, popatrzył pod światło, włożył do aparatu, uśmiechem potwierdzając wybór materiału.

Na początku obraz wydał mu się nieco mglisty, po chwili powróciła jednak ostrość, aczkolwiek Witek nadal nie wierzył własnym oczom. Wreszcie nie było wątpliwości: z barwnego obrazka wytartej kliszy uśmiechała się kusząco wielowymiarowa dziewczyna, bynajmniej niewyglądająca na mniszkę. – No, co, podoba ci się? – niecierpliwiał się mnich, po czym przestawił następny obraz, przyjrzał mu się z nieukrywaniem podnieceniem i z powrotem podał Witkowi aparat. Panienska już uboższa o sukienkę, teraz już tylko w skąpej bieliźnie, stała niezażenowana. Przy następnych slajdach gospodarz niemal szalał z podniecenia, klepiąc swojego gościa po udach i wykrzykując: – Patrz, zobacz te cyce – rękoma zataczał wielkie krągłości. Rzeczywiście, kobieta na slajdzie trzymała w rękach swoje obfite piersi, jak w dziesiątkach magazynów sprzedawanych

w kioskach. Toteż widok ten nie był tak niezwykły, jak zachowanie mnicha, który patrząc na celuloidowe nagości, unosił się w obłokach erotycznej fantazji. Podkreślił trochę muzykę i dołał wina. Oczy mu płonęły, ręce drżały. Widocznie dzielenie tego przeżycia z drugą osobą sprawiało mu dodatkową przyjemność, kto wie, może podniecie. Na stole pojawiła się następna butelka i więcej slajdów, a ich zawartość stawała się coraz odważniejsza, pojawiły się sceny zbiorowe z mężczyznanami w niedwuznacznych pozycjach. Wreszcie wyczerpał się zapas erotycznych przeżyć. Mnich ciągle szukał potwierdzenia, że było to wspaniałe, niezwykle: – Wyobrażasz sobie, co można by zrobić z taką dziewczyną, no tą w czerwonym biustonoszu, a czy widziałeś kiedyś takie uda, och!

Dla upamiętnienia wieczoru, czy też na znak sympatii, mnich wyciągnął ze swojej tajemniczej szuflady parę naszyjników, które sam zrobił z dzikich owoców, i podarował je Witkowi wraz z widokówką, tym razem już monasteru.

Przyjęcie jakby trochę przygasało, kiedy gospodarz nieśmiało zapytał gościa, czy mógłby mu wyświadczyć przysługę? Było to nieco kłopotliwe, ale wata posturka mnicha i jego cherlawe ramiona, nie stanowiły zagrożenia, toteż Witek się zgodził. – Czy mógłbyś mi zrobić masaż? – zapytał nieśmiało mnich. Witek odpowiedział, że nie potrafi, nigdy tego nie robił, ale w oczach gospodarza było tyle prośby, że postanowił spróbować. Mnich zdjął sutannę, odsłaniając chudziutki biały tors, podał olejek i położył się na pryzcy. Witek posmarował ręce i wolno zaczął masować plecy. Widocznie sprawiało to leżącemu dużą przyjemność, bo wydawał z siebie radosne pojękiwania. Niestety, masażysta nie dzielił jego rozkoszy, a wałkujący się pod palcami brud przyprawiał go o mdłości. I chyba tylko współczucie do tej wątłej, samotnej i zabiedzonej postaci pozwoliło mu przetrwać ostatnią część bankietu.

Po powrocie do swojego pokoju Witek jeszcze długo stał przy oknie, patrząc na otulone nocą mury monasteru i kontemplując wydarzenia ostatnich dni. Ileż ten księżyc musiał widzieć? Gdyby mury i ściany mogły mówić, ile historii by opowiedziały? Osiem wieków świata i ludzi. Dzwonnice, ikony i ciemne oczodoły czaszek. Spodziewał się, że na Świętej Górze stanie bliżej Boga, a spotkał człowieka, a może to jedno i to samo?

Rankiem odprowadziła go do przystani grupka mnichów. Prychająca dymem łupina jak co dzień odbiła od kładki. Witek stał na pokładzie, patrząc na znikające sylwetki gospodarzy. Wiatr rozwiewał ich czarne habitę na tle skotłowanych mgieł i majestatuycznego monasteru. ■

**“Zjednoczeni w dziennikarstwie,
związani z Polską”**

movinroots.it



ŚWIATOWE STOWARZYSZENIE MEDIÓW POLONIJNYCH



VII ŚWIATOWE FORUM MEDIÓW POLONIJNYCH

WARSZAWA/PUŁTUSK 17-20 PAŹDZIERNIKA 2024 r.

SŁOWO POLONII

GALA DZIENNIKARZY POLONIJNYCH

WARSZAWA 12 LISTOPADA 2024 r.



Światowe Stowarzyszenie Media Polonijne (ŚSMP) to globalna społeczność zrzeszająca polskich dziennikarzy i media zaangażowana w promowanie i rozpowszechnianie informacji o Polsce i jej relacjach ze światem. Zrzeszając ponad 100 członków w 30 krajach na 6 kontynentach, ŚSMP wspiera dziennikarstwo wysokiej jakości, sprzyja wolności prasy i promuje międzynarodową współpracę pomiędzy profesjonalistami z branży. www.smp.eu



EUROPEAN
BEST
DESTINATION
2023
★ WARSAW ★



POLISH
TOURISM
ORGANISATION



A photograph of a narrow street in Warsaw, Poland, lined with historic buildings. The sun is shining brightly from behind a building on the left, creating a lens flare effect. In the background, a church with two prominent green copper domes is visible against a blue sky with light clouds.

POLAND.
More than you expected

■ www.poland.travel